

Nienawidzę
was!!!



Piotr Gtrożński

© Copyright by Piotr Stróżyński, 2010

© Copyright by Jirafa Roja, 2010

Redakcja:

Korekta:

Zdjęcie na okładce: Marta Krause | www.mpracownia.pl

Zdjęcie autora: Zbigniew Król | www.mpracownia.pl

Łamanie i projekt okładki: Tatsu  tatsu@tatsu.pl

Druk i oprawa:

ISBN 978-83-629488-36-9

www.jirafaroja.pl

Wydanie I

Warszawa 2010



Spis treści

Część 1

ŚLEPCY

Rozdział 1

KRWAWA ZADYMA 9

Rozdział 2

JOLKA 29

Rozdział 3

TRIO BEZ NAZWY 39

Rozdział 4

SIŁA CENZURY 54

Rozdział 5

ŚLEPA NIENAWIŚĆ 83. 62

Rozdział 6

UCIEKAĆ STĄD 69

Część 2

NIENAWIDZĘ WAS!!!

Rozdział 7

TYLKO PRAWDA 83

Rozdział 8

SAMOBÓJSTWO 85

Rozdział 9

KOMORNIK I SANITARIUSZE 91

Rozdział 10

UKOCHANA KOBIETA 100

Rozdział 11

ANONIM 109

Rozdział 12

ŻONOBÓJCA 120

Rozdział 13

PORNOGRAFIA NA ŻYWO 132

Rozdział 14

SROMOTNIK 145

Rozdział 15

NA TROPIE BRATA 157

Rozdział 16

CUDZOŁÓSTWO 173

Rozdział 17

ZEMSTA AGATY. 191

Rozdział 18

ZATRZYMANY PRZEZ LOS 199

Rozdział 19

NIE JESTEM PSYCHOPATĄ 209

Rozdział 20

PAMIĘĆ, TRAWA I NIENAWIŚĆ 224

Część 1

ŚLEPCY

Rozdział 1

KRWAWA ZADYMA

Autobus jechał coraz bardziej niepewnie. Toczył się ociężale i coraz wolniej. Pokryty białym, śniegowym puchem, aż sapał pod jego ciężarem. Z rury wydechowej buchały ciemne opary, zbyt gęste i nieregularne, aby silnik mógł uchodzić za sprawny. Stłoczeni pasażerowie patrzyli w okna z widocznym na twarzach niepokojem. Właściwie niewiele mogli wypatrzeć przez te okna. Pokrywała je jakaś odmiana szronu, zmarzliny. Co niektórzy ledwie zdołali wytrzeć lub wychuchać niewielkie otwory na świat.

Panowało pełne wyczekiwania milczenie. Ciszę wypełniał tylko warkot silnika. W pojeździe śmierdziało spalinami. Widocznie część niepotrzebnych gazów przenikała do wnętrza zamiast natychmiast zatruwać atmosferę ziemską.

Milicyjne pojazdy pędziły raz po raz w stronę centrum, najczęściej zwyczajne nyski i terenowe gaziki, ale i duże niebieskie stary mknęły chyżo wzdłuż zwałów śniegu przy krawężnikach ulic. Chodniki coraz bardziej pustoszały. Z rzadka jakiś zagubiony przechodzień pomykał szybko. Przeważnie w stronę przeciwną niż samochody milicji obywatelskiej oraz ZOMO.

Autobus stanął. Silnik krztusił się i rządził na wolnych obrotach. Smród spalin stawał się coraz bardziej uciążliwy, dusił i tamował oddech pasażerów. Zapanował tumult i rwetes. Zewsząd dolatywały pytania. „Nie jedziemy dalej?” „Wysiadamy?” „Czemu стоимy?” „I co teraz?” „Jeszcze nas zwiną!”

W tylnej części brudnego pojazdu komunikacji miejskiej stało dwóch młodych chłopaków odzianych w czarne skórzane kurtki. Obaj byli rośli, najwyżsi w autobusie. Mimo rysów twarzy charakterystycznych dla nastolatków ich postury i stroje przymuszały do przynajmniej ostrożnych wobec nich zachowań. Zdecydowanie

odcinali się od tła tworzonego przez granatowe kurtki, czarne płaszcze, wysokie kozaczki, czapy ze zwierzęcych skór, jednobarwne, ciemne szale...

Niższy popatrzył ciekawie w oczy kolegi, lekko unosząc głowę (mimo swych stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu musiał pa-trzeć w górę, gdyż towarzysz urosł na wysokość dwóch metrów).

— Zdaje się, że Krzyki są po drugiej strony zadymy — powie-dział. — Trzeba się będzie przepawić albo wracamy na Psie Pole — rzucił sugestię.

Olbrzym nie odpowiedział. Stał i patrzył w zabrudzone, zaśnie-żone, zalodzone okno, z miną dość obojętną. Autobus pustoszał. Ludzie wolno wysypywali się na zewnątrz.

— Panie kierowco! Panie kierowco! Co my tutaj zrobimy!? Jak mam się do domu dostać!? — wołała rozpaczliwie starsza kobieta w wyliniałym płaszczu i wełnianej czapie na głowie. W dłoni trzy-mała czarną torbę pęczniejącą od ziemniaków.

Podobnych, rozpaczliwych krzyków, rozlegało się więcej.

— Który to dzisiaj? — flegmatycznie zapytał dwumetrowiec.

— A skąd ja mam wiedzieć? Przecież pijemy już... Sam nie wiem, od kiedy. Wiem, że grudzień jest i tylko tyle wiem. Święta po-dobno będą niedługo. W radiu tak mówili. Ale oni wciąż kłamią.

— A dzisiaj czasem nie jest trzynasty?

— Ty! — popatrzył na kolegę z uznaniem. — Na pewno! Trzy-nasty grudnia! Rocznicą stanu wojennego! Mamy dzisiaj trzyna-stego grudnia 1982 roku!

— To ciężko będzie dostać się na Krzyki — westchnął ten, który pierwszy wykazał orientację w kalendarzowej sytuacji. — Chodźmy z tego autobusu, dalej nie pojedzie. Skurwysyny stoją przed nami — wskazał głową w stronę przedniej szyby i ruszył do wyjścia.

Stanęli obok autobusu, w małej grupce zdeorientowanych lu-dzi. Niedawni pasażerowie rozprawiali na temat rozgrywających się gdzieś w pobliżu wydarzeń. Byli i starzy, i młodzi, kobiety i męż-czyźni; ot normalni ludzie, uwikłani w rzeczywistość, przejęci tym, co podesłał los, nerwowo komentujący wydarzenia.

Niebo zalegała sino-szara, gdzieniegdzie ciemniejsza, chmurna poświata. Lada moment mogła spaść kolejna porcja śniegu.

— Panie kierowco! Pan się zapędził tutaj! Widzi pan, że tu nie ma innych samochodów ani autobusów? Jakiś objazd pan przegapił

— tłumaczył tłusty jegomość z czarną teczką. — Wsiadamy i niech pan zawraca lepiej — proponował. — Nie jest bezpiecznie tutaj so-bie stać! Ja muszę do domu! Żona czeka! A nic dobrego z takiego stania nie będzie!

— Patrz pan! Gdzie zawracać?

Większość pasażerów zerknęła na drogę. Rzeczywiście. Ja-kieś sto metrów za autobusem formował się kordon milicyjnych pojazdów. Stał nawet jakiś wóz pancerny z potężną lufą sterzczącą z wieżyczki. Wokół samochodów biegali ludzie w hełmach, odziani w złowrogie, zniechędzone, zielone mundury nazywane potocznie moro. Zewsząd dolatywały dźwięki milicyjnych syren. Miały różne tonacje, rozmaite barwy pisków, a ich źródła przemieszcza-ły się. Jednakże większość sygnałów docierała od strony centrum miasta.

— Chyba nie ma co tak sterczeć. Jakoś się wyróżniamy z tego tłumy — zauważył niższy chłopak. — Zaraz się do nas ktoś dopier-doli. Zgarną nas. Wpierdolą nam albam zamkną. Albo powieszą na latarni — dodał po chwili namysłu. — Nie mam przecież w dowo-dzie pieczątki, że pracuję.

Grupka przy autobusie przerzedzała się. Cojakiś czas ktoś po-mykał w stronę małej, nie zatarasowanej uliczki nieopodal. Lu-dzie bali się, a przecież nikt z nich nie wyróżniał się wyglądem. Co innego dwaj młodzieńcy. Obaj odziani w czarne skórzane kurtki, czarne spodnie i wysokie wojskowe buty. Kurtka niższego nie by-ła przynajmniej pomazana, a na głowie miał zwyczajną, czarną czapkę wyglądającą na wełnianą. Drugi prawie idealnie świecił ły-są czaszką (przegrodzoną tylko pasmem może trzycentymetrowej szerokości włosów), a jego kurtkę zdobiły metalowe, gęsto nabijane ćwieki oraz kilka białych napisów w rodzaju „No future”, „Sex Pi-stols”, „Discharge”, „SS20”, „The Exploited”, „Anarchy”, „FUCK LOVE”, „I HATE YOU”, „urodzony przed wojną”.

— Tą ulicą się nigdzie nie dostaniemy. Jolka ma kasę, a ja mam kaca — mruzczał ten ekscentryczniej wyglądający. — Muszę coś wychlać...

— To co? Taranem? Ja mam kurwa kaca jak... Że mi gadkę za-tyka. Jak, jak... — zająknął się i nie wiedział, jak to określić.

Z przeciwnej strony ulicy, może około trzystu metrów przed stojącym autobusem, drogę również blokowały niebieskie pojazdy,

wokół których stali złowrogo wyglądający ludzie w hełmach z przezroczystymi tarczami.

— Osaczyli nas. Masz jakieś szlugi? Jesteśmy otoczeni. W kołtę jakimś — skomentował wyższy.

Zapalili Popularne. Kilku pasażerów z rezygnacją wróciło do autobusu, postanowili czekać na rozwój wydarzeń. Większość jednak poszła w sobie tylko wiadomą stronę, wcześniej nie zapomnieli zwymyślać kierowcy, że wpakował ich w kabałę i przez niego mają teraz kłopoty. Kierowca, brodac w średnim wieku, odziany w mocno sfatygowany, aż świecący od wytarcia, mundur zachowywał idealny spokój. Swobodnie palił papierosa obok drzwi autobusu, nawet uśmiechał się głupkowato czy też ironicznie.

— I co robimy? — niecierpliwił się mniejszy punk.

— Nie wiem. Stoimy sobie. Wszyscy stoją.

— A kto stoi, ten się cofa. Tak mówił jakiś filozof czy ktoś równie mądry. Może przez to boisko? — popatrzył z ożywieniem w kierunku pobliskiego płotu.

Stali bowiem po prawej stronie jezdni. Wiekowe kamienice widniały po jej lewej stronie, stały też i po prawej, ale tutaj rozdzielał je kawałek zaśniewanej teraz murawy, dwie pokrzywione bramki; zapewne szkolny placyk dla potrzeb sportu. Od ulicy boisko odgródzone było płotem, ale jakimś niepokąznym, ledwo się kupy trzymającym.

— Skąd ja mam wiedzieć, czy przez boisko? Nie chodziłem przecież do tej szkoły i nie wiem... Ale popierdalajmy. Zobaczmy — stwierdził bez entuzjazmu ten wyższy.

— Trzeba rzeczywiście nieźle zasuwać. Jak nas zobaczą na tym śniegu, to jeszcze pogonią za nami. Niektóre psy tak mają. Jak się stoi, nie atakują. A co tam jest? Jakaś ulica czy co? — wskazał głową teren za odległym gmachem. — Gdzie wyleziemy, jak się uda tam dobiec?

— Chyba mniej więcej w dobrym miejscu.

Nagle do chóru i jęku odległych syren, dołączyły odgłosy ni to wybuchów, ni wystrzałów. Raz po raz, coś grzmiało gdzieś w górze ulicy. Patrzyli ze strachem, ale i z zaciekawieniem. Raptem dotarła fala ludzkiego krzyku; zupełnie jak ze stadionu piłkarskiego, gdy kotłuje się pod bramką gości. Była w tym ryku niezwykła moc, siła tysięcy gardel, jedność tłumu. Fala przebrzmiała niczym echo. Znowu tylko jęczały syreny i raz po raz coś wybuchało w oddali.

— Zadyma na maksa — obwieścił wyćwiekowany.

— Aż by się chciało przyłączyć.

— Spróbujmy przez to pole. Przez to boisko. Nie ma co tak stać.

Znowu do ich uszu dotarł ryk z wielu gardel. Tym razem nie była to chaotyczna wrzawa. Dość wyraźnie usłyszeli gromkie, zgodne „Solidarność! Solidarność!” I znowu fala dźwięku przetoczyła się, przepadła w dole ulicy.

— Biegniemy! Tam nas pewnie potrzebują! — wyższy zdecydowanie ruszył w stronę płotu.

— Naprzód! Do boju! Przez morza! — krzyknął zachęcająco towarzyszy. — Pierdolona komuna! Nienawidzę ich! Pozabijają skurwysynów!

— Gdzie ty, kurwa, widzisz tu morze?

Bez problemów przesadzili płotek i ruszyli biegiem w kierunku rosnącego gmachu. Obaj stwierdzili z przerażeniem, że natychmiast ruszył za nimi pościg, bo ulicą gnała kawalkada pojazdów migających niebieskimi światłami. Ale nyski i stary nie zatrzymały się obok autobusu, pomknęły dalej, a na młodzieńców chyba nikt nie zwrócił uwagi. Tylko czy na pewno? Obaj odziani na czarno byli teraz doskonale widoczni, na płaskiej powierzchni pokrytej śniegiem. Biegli dość swobodnie, nie narzucając krańcowego tempa, czujnie oglądając się za siebie. Kierowca przy autobusie przyjaźnie pomachał im ręką.

Wreszcie dobiegli do budynku. Wyższy szarpnął jakieś drzwi usytuowane między czerwonymi tablicami na murze, ale te nie ustąpiły. Ruszył więc wzdłuż muru i okien. Niższy automatycznie za nim. Biały plac był pusty, nikt ich nie ścigał. Jęk syren nasilał się, narastał. Tętniły odległe wybuchy. Fale wściekłego wrzasku, rwetes wydawany przez setki gardel docierał teraz nieustannie. Zanikał tylko na kilka krótkich sekund. Wracął jakimś przez chwilę słyszalnym hasłem „Precz z komuną! Precz z komuną!”

Wbiegli za węgiel, coraz bardziej zmęczeni. Coraz trudniej łapać oddech, wypatrywali azylu dla chwili wytchnienia...

* * *

Złani potem stali w bramie kamienicy, podpierali się o ściany i z niepokojem wypatrywali, czy nie wpadną tu rozwścieczeni zomowcy?

— I co? I co dalej? — z trudem wykrztusił niższy, wyglądający na bardziej zmęczonego, niezwykle blady.

— Otwórz te drzwi i zobacz.

— Wiesz, gdzie jesteśmy? Sam sobie otwórz! Twoje miasto przecież. Ja w ogóle nie wiem, gdzie jestem. To Wrocław?

— Mniej więcej wiem. A takie ono moje jak i twoje. Dzisiaj ma je gestapo... Goście mają pierwszeństwo. To zobacz.

— Ja nie jestem dzieckiem Breslau. Daleko do Wesołej?

— Daleko. W zadymie nie przejdziemy.

— To co robimy? Czekamy?

— Chwilę jeszcze, bo zaraz płuca wyrzynam.

— Może papieroska?

— Spadaj!

— Zapamiętam sobie. Już ci nigdy nie zaproponuję fajki. A zresztą... Nie wiem, czy jeszcze mam.

— Co tam się dzieje? Słyszysz? Trzecia wojna czy jak? — chłopak w kurtce z napisami, przyłożył ucho do powierzchni starej, mocno sfatygowanej bramy z niewielkimi drzwiami pośrodku. Skrzywił się niechętnie, gdyż w przejściu śmierdziało dziwacznie i dość nieprzyjemnie. Właśnie odczuł to bardzo dosadnie.

Dotarli tutaj od zaplecza, klucząc po jakiś zaułkach, przejściach, podwórzach, ogrodach. Byli nawet na jakimś dachu. Teraz niechybnie, wypadało wyjść na ulicę albo zaczekać.

Brama wyglądała na grubą, mimo wielu lat służby także na solidną. Powinna dobrze izolować od świata dźwięków. A jednak coś przenikało do wnętrza, jakieś urywane krzyki, jęgoty, bębnienia, jęki, trzaski, jakiś monstrualny tumult.

— Chyba lepiej przeczekać — proponował niższy. — Może zastukamy do któregoś z mieszkań? Ludzie nas przyjmą. Przeczekamy. To jest przecież okupacja, a my Polacy.

Ale oto drzwi pośrodku bramy rozwarły się gwałtownie i do wnętrza wpadł mężczyzna w niebieskiej koszuli, raczej niestosownie odziany do panującej aury. Zatoczył się i upadł na brukowaną posadzkę. Upadkowi towarzyszył dość głośny plask i jęk z gardła. Zaraz za nim, wraz z krzykami i wyciem syren oraz wystrzałami, wpadło do środka trzech umundurowanych zomowców z olbrzymimi pałkami w rękach, ale bez hełmów i tarcz. Błyskawicznie doskoczyli do leżącego. Jeden zaczął go systematycznie kopać w głowę,

a pozostali tłukli z wielką siłą pałami, gdzie popadło. Ofiara w ogóle nie reagowała. Mężczyzna chyba stracił przytomność w momencie upadku na bruk. Oprawcy bili jednak bez opamiętania, jednocześnie złowrogo łypiąc na dwójkę niecodziennie odzianych młodzieńców. Słychać było teraz odgłosy ulicznej bitwy, a także sapania i uderzenia butów oraz pałek o ludzkie ciało.

Uciekinierzy stali obok drzwi, doskonale widoczni w świetle z ulicy i podwórza. Nikt nie rzucił komendy, ale zomowcy przestali bić równocześnie. Widać było, że pastwienie się nad nieprzytomnym (bądź już martwym) człowiekiem bardzo ich zmęczyło. Odychali ciężko, a czoło jednego z nich rosił dobrze widoczny pot.

Młodzieńcy w skórzanych kurtkach i stróże porządku patrzyli teraz na siebie, zerkając też w stronę bramy. Coś się paliło i dymiło gdzieś w pobliżu. Jeden z zomowców zakaszał. Powietrze stawało się coraz gęstsze od duszących oparów.

— Zajebane, okurwiałe świry! — krzyknął jeden z mundurowych i ruszył szybko w kierunku wyższego chłopaka, bo ten stał bliżej niego. Błyskawicznie cofnął rękę, przymierzając się do potężnego ciosu pałką. Ofiara napaści stała bardzo spokojnie, patrząc bez widocznych z zewnątrz emocji, trzymając dłonie w kieszeniach kurtki. Kiedy tamten ruszył naprzód, on też postąpił do przodu. Wykonał bardzo szybki ruch ręką wyciągniętą z kieszeni w kierunku twarzy napastnika. Coś niemiło zazgrzytało. Pałka odsunięta w tył, aby mogła nabrać rozpędu nagle przybrała znacznie na wadze, bowiem pociągnęła nacierającego do tyłu i ułożyła na kamieniach podłoża, twarzą ku górze. Zupełnie jakby ten umundurowany człowiek nagle, w ułamku sekundy, stał się bezwolną kukłą, w której nie ma życia. Z twarzy zwróconej ku brudnemu sufitowi, a konkretnie z lewego oczodołu, wystawała rękojeść noża, ledwie widoczna z tryskającej obficie krwi. Zomowiec nawet nie jęknął, nie wydał żadnego tchnienia. Tylko nie chciał zastygnąć bez ruchu, drgały mu ręce i nogi, którymi lekko łomotał o bruk. Obok dygoczącego ciała leżała biała zomowska pała, nieco skropiona czerwonymi plamkami.

Przez kilkanaście sekund nie patrzyli na siebie, ale na drgające w agonii ciało, na uderzającą w konwulsjach głowę, wokół której rozlewała się wciąż rosnąca kałuża w kolorze soczku z czerwonych buraków, a pewnie trochę ciemniejsza. Wreszcie spojrzenia mężczyzn spotkały się. W oczach dwóch młodych przedstawicieli panującego

wokół prawa uzbrojonych w pałki jarzyła się nienawiść. Była tam furia i żądza mordy. Można było z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że za chwilę rozegra się tutaj nie zwyczajna bójka, lecz walka na śmierć i życie. Dwóch na dwóch. Tyle, że tamci trzymali w dłoniach ogromne pałki, a ich dodatkowym uzbrojeniem było zapewne przeszkolenie, jakie odbyli.

Niespodziewany, potężny łoskot, łomot i trzask, sprawiły że obecni w bramie drgnęli gwałtownie, podskoczyli, by zareagować na jakieś nowe zagrożenie. Oszołomieni, zdezorientowani nie wiedzieli, co się dzieje. Częściowo w mur domostwa, a częściowo w bramę uderzył z impetem jakiś samochód, chyba zwyczajna syrenka. Brama zachwiała się w posadach, jej lewa część z hukiem i trzaskiem dość wolno i majestatycznie opadła, przykrywając pojazd. Teraz ulica stała się wyraźnie widoczna. Powietrze gęstniało dymami, tu i tam coś płonęło, biegało kilku ludzi, wałały się w nieładzie rozmaite przedmioty. Na jezdni i chodnikach nie zalegał śnieg, tylko jego niewielkie pozostałości. Nieopodał spiętrzone barykadę tarasując wejście w poprzeczną uliczkę. Zbudowano ją z ławek i najróżniejszych mebli. Z parterowego mieszkania przez okno wylatywał tapczan wypychany właśnie przez jakieś postacie. Zaraz inni pochwycili mebel i przenieśli kilka metrów, dorzucili do innych rupieci zapory.

Spod przewróconej bramy, gdzie leżał rozbity samochód, zaczął wydobywać się czarny dym. Groziło wybuchem. Niespodziewana kraksa odwlekła atak. Wszyscy przez kilkanaście sekund patrzyli na rozbite auto zakryte szczątkami bramy. Ale po kilku chwilach nowy bodziec przestał być istotny. Dwaj zomowcy stali, ponownie łypali nienawistnie w stronę młodzieńców, skupiając wzrok na wyższym. Ten, na pozór zimno i obojętnie, patrzył na nich. Tylko kolega zabójcy, nerwowo lustrował okolicę, rozglądał się, wyjawiał widoczną ochotę do ucieczki. Nogi mimowolnie drobiły niespokojnie, wykazując tendencję do natychmiastowego przemieszczenia ich właściciela. U stóp leżały nieruchomo dwa ciała, a wokół nich rozlewały się nieustannie rosnące kałuże krwi. Twarz zabitego nożem, całkowicie ginęła w czerwonej posoce. Z czerwieni tej, w dość upiorny i makabryczny sposób, sterczały oprócz czarnej rękojeści noża, obnażone zęby. Młody mężczyzna wydał ostatnie tchnienie z dziwnym, upiornym grymasem warg, który już tak pozostał...

Buchnęło czymś do środka, jakimś oparem dymu. Wszyscy zaczęli się krztusić, zakrywać oczy rękami, kaszleć. Walka chwilowo stała się niemożliwa. Ludzie w tunelu bramowego przejścia niemalże rzygali. Równocześnie wybiegli na ulicę, szukając czystego powietrza. Dalsze przebywanie w bramie groziło uduszeniem. Dwa nieruchome ciała pozostały na kamieniach podłoża. Dym buchający z przywalonego połową bramy samochodu, wciąż gęstniał. Być może samochód już się palił, a wraz z nim uwięziony wewnątrz człowiek. Ale żaden krzyk z tej strony nie dochodził.

Jeden z zomowców nagle przerwał ściskanie nosa i oczu, natarł na zabójcę swego kompana, usiłując uderzyć go pałką w głowę. Ale ten uchylił się zgrabnie i odskoczył na dość znaczną odległość. Drugi z atakowanych również umknął kilka kroków, równając szereg z kolegą. Ludzie z pałkami chcieli błyskawicznie skrócić dystans, ale cywile czujnie odskakiwali, odwróceniem twarzami do prześladowców. Ponieważ znaleźli się nieopodał barykady, zomowcy nie pośpieszyli za nimi. Stali i patrzyli, mówiąc coś do siebie.

— Zabiłeś go, wiesz? — wykrztusił z trudem niższy, bo gaz gryzł w gardło i wyciskał łzy.

— Jasne, kurwa, że wiem. No i co z tego? Żałujesz go? To było w samoobronie. Jednego bydlaka mniej. Pozostało już tylko kilka tysięcy i milion partyjnych... Pierdolonych pacholków Rosji! Nienawidzę ich! Pozabijałbym wszystkich!

— Do nas! Tutaj! Odsuńcie się! Odsuńcie się na bok! Chodźcie tutaj! — krzyczał ktoś bardzo donośnie z tyłu.

Usiłowali szybko ocenić sytuację. Barykada w pobliżu wciąż potężniała bogaconą o wyrzucane z mieszkań meble i jakieś dziwaczne graty, chyba wydobywane z piwnic i podwórek. Tama grodziła wlot do wąskiej, bocznej uliczki, w miejscu, w którym ulica główna znacznie się zwężała. W odległości około dwustu metrów, stały tabuny różnorodnych pojazdów, błyskając niebieskimi, alarmowymi światłami. Przestrzeń ulicy zaśmiecona do granic możliwości; wszędzie leżało potłuczone szkło. W kilku miejscach coś dymiło.

Jedynymi widocznymi ludźmi między barykadą a wrażym obozem byli teraz tylko dwaj młodzieńcy w skórach oraz dwaj zomowcy, wciąż gotujący się do ataku. Ulica nagle opustoszała, bo przecież jeszcze niedawno, tu i tam biegało bez ładu i składu kilku ludzi.

— Kurwa! Słyszycie? Odsuńcie się na bok! — w ich kierunku pędził jakiś człowiek z płonąca butelką w dłoni.

Łysy silnie szarpnął kompana za ramię.

— Zastawiamy im cel — powiedział.

Teraz bieгло już kilku ludzi z butelkami w rękach. Na szyjkach tych butelek błyskał ogień.

Zomowcy ruszyli do panicznej ucieczki w kierunku swoich pojazdów. Umykający stali się łatwym celem. Kilka butelek pofrunęło natychmiast w ich kierunku. Biegący jako pierwszy nawet porzucił pałkę i parł przed siebie, ile tylko miał sił w nogach i płucach, próbował lawirować na boki niczym zając. Nagle wokół dwójki biegaczy zaczęły wybuchać gejzery ognia. Ten, który nie wyrzucił pałki i biegl z tyłu w ułamku sekundy, zamienił się w ognistą kulę. Widać teraz było tylko nogi do wysokości kolan, reszta stała się żywym ogniem.

— Jest!!! — usłyszeli radosny wrzask z kilkunastu gardeł.

Kompan płonącego nie pośpieszył mu z pomocą. Nawet się nie obejrzał za siebie. Biegl naprzód, jak tylko mógł najprędzej. Ognista kula stanęła w miejscu, przemieszczała się trochę, raz w lewo, to znowu w prawo... Urosła w górę. Płonący człowiek podniósł ręce.

— Aaaaaaaaaaaaaaaaaa!!! — to nie był krzyk, raczej jakiś nieartykułowany, nieludzki ryk, skowyt, zupełnie niepodobny do dźwięków wydawanych przez l gardło.

— Sromotnik! Chodź! Tu trzeba kogoś wyciągnąć z samochodu! — niższy ruszył w kierunku rozbitego przy bramie auta. Kątem oka dostrzegł, że rusza ku nim tyraliera kilku pojazdów. Środkiem ulicy pędziły dwa wielkie zielone wozy pancerne, z czymś na dachu, co mogło być wodną armatką, ale i równie dobrze ciężkim karabinem. Za dwoma potężnymi pojazdami gnało kilka mniejszych samochodów.

Dopadli do przygniecionej resztkami bramy samochodu. Dym wciąż wydobywał się z wraku, ale ognia nie widzieli. Naparli na połamane drewno blokujące dostęp. Zaraz z pomocą pośpieszyli ludzie wcześniej ciskający butelkami z benzyną. A złowrogie, opancerzone samochody pędziły ulicą, ku nim. Płonący człowiek upadł na chodnik. Znad dachu jednego z pojazdów trysnął strumień wody, wprost w niego. Był jednak tak silny, że poderwał leżące ciało i cisnął nim o pobliską ścianę domu. Automatycznie wykonywali

czynności. Przy rozbitej syrence znalazło się raptem chyba z dziesięciu ludzi. Mniejszego punka odepchnięto w bok, ku bramie... Patrzył, jak wyciągają z samochodu bezwładną, skrwawioną kobietę, ładną blondynkę w wieku góra trzydzieści lat.

Raptem poczuł silne uderzenie i ból. Nie rozumiał, co się stało i dlaczego leci w powietrzu. Został przemieszczony, czymś trafiony, silnie pchnięty do wnętrza bramy, gdzie upadł w bliskim sąsiedztwie zomowca z nożem w oku. Dopiero teraz zorientował się, że jest całkowicie mokry. A więc po prostu został zmieciony z jezdni przez strumień wody pod bardzo silnym ciśnieniem. Wstał. Ulicą przemknęła kawalkada pojazdów tryskających wodą. Znowu wystrzeliwały granaty z gazem. Mgła przesłaniała widoczność. Coś trzaskało, ludzie krzyczeli.

— A gdzie Sromotnik? — pomyślał. Spojrzał na zwłoki zomowca i doznał uczucia obezwładniającego strachu. — Jeżeli mnie tutaj znajdują, to zabiją.

Chciał wyrzeć ostrożnie na ulicę, ale grzmotnęło w pobliżu i widok zasnuł obłok gryzącej mgły. Nie zastanawiając się więcej nad położeniem, ruszył biegiem w kierunku podwórza. Gnając niczym rasowy rumak, szybko znalazł się po drugiej stronie placu i wbiegl do korytarza. Pamiętał, że był przelotowy i wychodził pośrednio na inną ulicę. Wyjście znajdowało się w sporej, zadrzewionej wnęce stojących szeregowo kamienic, tworząc zaułek, dość znacznej wielkości wklęsłość w równym szeregu domów. Ale na ulicy przy owym zaułku także gromadziły się znaczne siły ZOMO, kiedy tamtędy wcześniej biegli. Dobiegl do wylotowych drzwi. W ich górnej części była niewielka dziura na przestrzał. Łapczywie przyłożył oko z nadzieją na wolną drogę.

W niewielkiej odległości, na asfalcie przy chodniku, obok rosnącego drzewa, kilka metrów od muru domu bez okien stały dwa wojskowe, czy też zomowskie, samochody terenowe zwrócone ku sobie tyłem. Oba miały haki na wypadek potrzeby holowania. Do haków tych przykuty był kajdankami jakiś mężczyzna z widocznym na twarzy bezgranicznym przerażeniem. Dwie pary stalowych obrączek łączyły go z pojazdami; odpowiednio każdą górną kończynę z innym samochodem. Leżał więc na ziemi twarzą ku górze z nieznacznie podniesioną głową. Miał na sobie tylko spodnie i podkoszulek. Stóp nie chroniło obuwanie ani nawet skarpetki. Grupa zomowców stała

w pobliżu, coś tam mówiąc do siebie i chichocząc. Wokół panował spokój. Nic nie płonęło, nikt jeszcze nie krzyczał. Ale oto oba terenowe samochody wolniutko ruszyły naprzód. Naprężenie uniosło skrzepowanego człowieka ku górze... Usłyszał taki sam ryk, jaki wcześniej wydawała płonąca kula. Prawa kończyna męczyzny oderwała się od korpusu na wysokości barku, tryskając fontanną krwi. Ramię wachlując na boki, przebyło kilka metrów wleczone przez samochód. Okaleczone ciało wraz z drugą ręką wlekło się nieco dłużej. Kierowca później zatrzymał pojazd. Ciągnięty człowiek zostawiał za sobą ciemnoczerwony ślad, dość dobrze widoczny, chociaż śnieg nie przykrywał tutaj asfaltu.

— Wygrałem! Flacha moja! — wołał ktoś. — Zawsze jedna ręka puszcza pierwsza. Dwie nigdy nie puszcza naraz! To ścierwo musiało być mańkutem, bo słabsza ręka puszcza najpierw...

Nie podjął decyzji o ucieczce. Po prostu nogi same zaczęły uciekać. Ale musiał się zatrzymać. Dokąd uciekać? Nie wiedział. Stał zdeorientowany, bliski obłądu, prawie nieprzytomny z przerażenia. Nie czuł wilgoci ubrania ani chłodu. Nie czuł właściwie nic oprócz wszech ogromnego strachu.

Tędy! Jak szalony rzucił się w kierunku dość wysokiego, drewnianego płotu, nie wiedząc, co za nim znajdzie. Ważne było tylko to, że kierunek ten nie skazywał na powrót do makabry i dawał jakąś szansę. Spadł z płotu na głowę, ale ze sprawnością kota stanął na nogach i biegł dalej. Do następnego płotu. Znalazł się na prawie identycznym podwórzu, ale już przecież nieco dalej od ulicznej barykady.

— Może jeszcze kilka takich płotów i będę mógł wybiec na normalną ulicę, bez wojny? — łudził się nadzieją.

Biegł przed siebie dopingowany przerażeniem. Zaczepił nogą o wystający korzeń. Upadając, grzmotnął czołem w ośnieżony kamień... Krew z rozbitego łuku brwiowego zalała mu oczy, ale nie zwrócił na to uwagi. Sprawnie przesadził kolejny płot...

* * *

Nie miał sił. Czuł, że jeżeli po drugiej stronie mostu nie znajdzie azylu, upadnie i zatłuką go... Biegł, nie oglądając się za siebie, bo ze zmęczenia nie był już nawet zdolny do patrzenia w tył. Bez wzro-

kowego postrzegania wiedział, że ściga go około dziesięciu uzbrojonych w pałki, rozwścieczonych zomowców.

Zobaczył przed sobą kawalkadę milicyjnych samochodów. Nie zastanawiał się, co robić, nie podjął żadnej przemyślanej decyzji. Opierając się ręką o balustradę mostu, przerzucił ciało i spojrzał pod stopy, trzymając poręcz prawą dłonią. Wahanie trwało bardzo krótko. Skoczył. Z niezwykle szybkością zbliżały się ku niemu płynące po rzece lodowe oczka. Lot trwał może ze dwie, trzy sekundy. Przez maleńki ułamek tego czasu słyszał huk rozbryzgiwanej wody i toń zamknęła się nad jego głową. Otworzył oczy, zdziwił się, że wcale nie jest zimno; tylko ciemno... W szoku i ogólnej dezorientacji zapomniał nawet o strachu.

— Buty! — z tym impulsem myśli rozpoczął podwodną szamotaninę. — Są ciężkie i pociągną mnie, nie dadzą wypłynąć! — szarpał za sznurowadła. — Aaaaaa! — zawył, zachłystując się wodą.

Dopiero teraz ciało sparaliżowało zimno. Właściwie nie był to żaden chłód ani nic podobnego. Ścisnęły go kleszcze na wskroś przenikającego bólu. Każda komórka ciała, krzyczała swym własnym, krańcowym cierpieniem. Tortura nakazała jak najszybsze parcie ku brzegowi, bez rozglądania się na boki i baczenia na oprawców. Coś uderzyło go w głowę; chyba ciśnięty z mostu kamień, ale nie zwrócił na to uwagi, zaciekle szamocząc się i młócąc rękami wodę... Ból wywołany ciosem w głowę był niczym wobec mąk zadawanych przez lód Odry.

* * *

Już nie biegł, nie miał siły. Truchtał mocą ostatnich rezerwowych tchnień, objając się o drzewa przy cmentarnej alei. Jakoś wymierzał, że nie upadał, bo tam, gdzie niechybnie by leżał, rosło drzewo i odbijało go ku przebyciu dalszych kilku metrów.

Wolno zmierzchało, gasło grudniowe niebo. Na bezludny, rozległy cmentarz opadała ciemność. Stanął i objął drzewo. Paraliżujący ból uderzył w okryte tylko mokrymi skarpetkami stopy. Śnieg zdawał się puszysty, nie topniał, a więc niechybnie panował mróz.

Nie mógł wytrzymać bólu stóp, więc zaczął iść dalej, aby choć na sekundę dać na przemian odpocząć każdej nodze. Nie wiedział nawet, czy jest mu zimno, czy też może ciepło. Dygotał, ale

czy z zimna, skoro oblepiała go nie tylko woda wyniesiona z Odry, ale i gorący pot?

Aleja wiodła ku jakiemuś budynkowi, coraz gorzej widocznemu w zapadającym zmierzchu. Podszedł zdecydowanie i stwierdził, że musi to być cmentarna kaplica. Ze zdziwieniem spostrzegł, że w oknach coś błyska. Chwycił za klamkę u drzwi. Ustąpiły. Bez namysłu wpadł do wnętrza.

Między dwoma rzędami ławek, obok pustego postumentu dla trumny, wokół ogniska siedziało trzech roznegliżowanych, prawie nagich mężczyzn. Dwóch miało na sobie tylko białe gacie, a trzeci — rosy brodacze, żółtawe kalessy. Wszyscy trzymali w dłoniach kije wyciągnięte nad płomienie, zupełnie jakby smażyli kiełbaski. Nie były to jednak żadne spożywcze produkty, lecz spodnie, koszule, swetry i kurtki. Przywitali przybysza obojętnymi spojrzeniami.

— Dobrze trafiłem. Też pływałem w rzece — oznajmił z ulgą. — A skąd macie te kije?

— Tam, stoją drzewce jakiś żałobnych sztandarów — odparł jeden z siedzących, wskazując ręką kierunek. — Masz coś zapalić?

— Jak się da wysuszyć, to chyba tak... Ale nie wiem. Breja się zrobiła z paczki — grzebał w kieszeni kurtki.

— Szkoda. To zdejmuj te łachy i siadaj. Ja też nie mam butów. A te, które miałem, były moimi jedynymi. Przyjdzie mi chyba w trampkotepach popierdalać teraz po śniegu — narzekał.

Skwapliwie skorzystał z rady. Zrzucając z siebie odzież, usłyszał, jak mężczyźni mruczą cicho i zgodnie niczym harcerze przy ognisku „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy. Polski my naród, polski ród”.

* * *

Serdecznie i szczerze podziękował za pomoc, uściśnął dłoń kierowcy i wysiadł z samochodu. Pojazd natychmiast ruszył. Stał w bliskim sąsiedztwie bloku, który oficjalnie zamieszkiwał niejaki Marek Grzyb, powszechnie nazywany Sromotnikiem. Czuł, że użyzione mu buty są przynajmniej o jakieś dwa numery za małe i piłą niemilosiernie. Wyobraził sobie, że zrzucił trzewiki z nóg i tym rażniej ruszył w kierunku klatki schodowej. Ale okna w mieszkaniu na trzecim piętrze były całkowicie ciemne.

— Jesteś wreszcie! Już całkowicie zamarzłem. Gdzieś się tak długo podziewał? Myślałem, że i ciebie zajębali!

Głos był znajomy, ale postać jakaś inna. Sromotnik miał na sobie dziwaczną, tandetną, granatową kurtkę, a na głowę narzucony kaptur.

— Ja się cieszę, że w ogóle tu dotarłem!

— Dawaj do słupa! Szybko!

W niewielkiej odległości stał słup ogłoszeniowy. Plakatów nie było widać. Tylko jakieś nieczytelne, wzajemnie zakrywające się napisy wyrzeźbione bezpośrednio na okrągłej warstwie wraz z resztkami ogłoszeń, niewielkimi skrawkami papieru. Sromotnik odchylił fragment powierzchni słupa, trzymający się doskonale za pomocą prętów zbrojeniowych, i błyskawicznie wskoczył do pustego wnętrza. Na ziemi stała zapalona świeczka i dwie butelki wina. Jedna była prawie pusta. Widać tutaj czekał i stąd wyszedł.

Przybysz usiadł, oparł się plecami o zaokrąglony mur. Z ulgą zdjął buty. Marek zabezpieczył wejście, umocowując ruchomy kawałek muru i również usiadł. Chociaż od ziemi niemilosiernie parzyło mrozem, niewielkie wnętrze, rozświetlane blaskiem świecy, dawało jakieś poczucie bezpieczeństwa i przytulności. Raczej nie kłę to było poczucie, ale zawsze. Nawet specjalnie nie śmierdziało moczem. Pewnie mróz trochę odkażył to miejsce.

— Nie mogę iść do domu, nie mam domu — stwierdził spokojnie Sromotnik.

— A papierosy masz?

— Nawet kilka paczek — usłużnie podsunął. — Ja tu gadam o takim nieszczęściu, a ten tylko o paleniu! Nałóg!

Zapalili od świecy, mozoląc się nieco z jej ponownym, pionowym ustawieniem.

— Jak to nie masz domu?

— Tamten zomol, co uciekł, musiał chyba dobrze mnie opisać, bo przyjechali tutaj. Zwinęli starego i bracholi, całą drukarnię i ulotki, wszystko znaleźli. Tam jest teraz kocioł i zwiną każdego, kto przyjdzie. Toteż czekałem na ciebie. Kurwa! Że też akurat wszyscy musieli tu być! Po chuj akurat teraz tu przyleźli!? Przecież czasem nie ma ich tygodniami na Wesołej! Podobno mieli jakieś pałki, łańcuchy, petardy, kastety... Mają kompletnie przejebane. I ja też!

— A Jolka?

— Co Jolka!? Nie było jej. Już wie i nie przyjdzie tutaj.

— I po kiego żeś mu ostrość widzenia naprawiał? Mogłeś mu kosę wjechać w bebechy. Też by padł, ale pewnie by przeżył.

— Daj spokój Piotrek. Mnie wcale nie do śmiechu — wyznał poważnie. — Łatwo powiedzieć w bebechy. W takich chwilach się nie myśli. A oni zresztą mają zbroje na sobie i te mora są takie grube. Niełatwo im się dobrać do dupy przez mundur. To był impuls. Miałem pozwolić, aby nas wgnietli w bruk jak tego gościa?

— I co teraz? Jak mówisz do mnie po imieniu, to czuję, że... Smutno ci chyba. Stąd to piotrkowanie. Raz chyba do mnie tak mówiłeś, jak na Mazurach zgubiłeś szmal.

— Nie wiem, co teraz. Kurtkę zostawiłem u kolesia, żeby trochę wizerunek zmienić. Dał mi tę. Czapkę też mam. O! W kieszeni — zademonstrował.

— Z ulgą to słyszę. Gdybyś paradował z tym irokezem na głowie, daleko byśmy raczej nie zaszli. Musisz go zgolić.

— Wiem, ale nie ma czym. Paradować? Dokąd? Gdziekolwiek pójdę, narażę ludzi. Jestem jak Żyd, co uciekł z getta. Jak parias najgorszego rodzaju!

— A Jolka gdzie jest?

— Nie wiesz? U tego, swojego... wypierdka.

— Fajnie, że masz jabola — sięgnął ręką po butelkę. — Po kąpieli w Odrze dobrze mi to robi. Kurwa mać, Sromotnik! Mówię Tobie! Myślałem tam, pod wodą, że już po mnie. Ale udało mi się glany zrzucić i jakoś mnie woda nie chciała. Ale butów szkoda. Skąd ja teraz takie wezmę? To były glany jugosłowiańskich komandosów!

— Pływałeś?

— Człowieku! Z mostu musiałem skakać, bo by mnie zajebali. I nie mam glanów. Zostały w wodzie. Dobrzy ludzie podarowali mi buty. Tylko, kurwa, za małe!

— Chyba trzeba wynosić się z Wrocławia. Otwórz to wino!

— Ty już swoje wypiliśmy — zaprotestował Piotr.

— Nie pierdol! Otwieraj! Nie chce mi się żartować!

— Skąd masz?

— Dobrzy ludzie podarowali. I kilka paczek fajek też.

— Trzeba chyba wyrywać z Breslau, najszybciej jak się da —

orzekł Piotr, nie mogąc dobrać się do zawartości butelki, czyli usunąć plastikowego zamknięcia.

— Daj! Mam szczyryk — Sromotnik wyciągnął dłoń po wino. Z ulgą oddał flaszkę.

— Ile ty masz tych noży, co?

— Daj spokój. Zajebałem psychopatę, a jest mi teraz jakoś dziwnie... Coś mi się tam roi we łbie, że rodzinę mógł mieć, dzieci, że może jakaś matka chociaż na niego czeka. Takie wyrzuty sumienia — wyznał poważnie, skrobiąc nożykiem po zatyczce butelki. — Nigdy nie myślałem, że kiedyś zabiję człowieka. Bo to przecież niby człowiek był. Ale się, kurwa, porobiło... I nóż tam zostawiłem, a mendi mają moje odciski palców. Jestem skończony!

— A ja widziałem, jak zomole przykuli kajdankami faceta do samochodu i rozjechali się, rozrywając go na strzępy. I odtąd już nie będę miał wyrzutów sumienia — odparł Piotr. — Szkoda, że i ja żadnego nie utłukłem. Ty się nie martw, tylko dumny bądź! To jest wojna! Jak ty nie zabijesz, zajebią ciebie! Jeszcze przedtem się dobrze zabawia.

— Rozerwali? Samochodami? — patrzył przerażony, zaprzestał manipulacji przy butelce. — Jak to?

— No. Ręka w barku puściła. Wyrwali mu ją całą. A jeden z nich wygrał przy tym zakład. A ten facet, który mnie tu wiozł, widział, jak komuś tam połamali obie ręce w łokciach na moście i wrzucili przez balustradę do rzeki. Raz wypłynął i... koniec.

— Ja widziałem, jak starem gonili faceta i dopadli. Przejechali go. Stanęli i zawrócili, jeszcze raz do tyłu i do przodu po nim. Została miazga.

— Sam widzisz, że dobrze jest utłuc gada i nie ma nad czym kwilić. Walczymy o wolną Polskę. Jakoś tak dziwacznie... Bo z samymi Polakami, ponoć tak się nazywają. Tego chyba jeszcze historia nie notowała. Taki nowy czas. Pokolenia Powstańców Warszawskich i inni, podobni, to już głęboki lamus. Teraz mamy rodzimych gnojów, zdrajców. Okupant nie musi tracić swojej krwi, my wyrzynamy się sami.

Sromotnik przytknął butelkę do ust. Zagulgotało, grdyka pracowała rytmicznie. Wychylił od razu połowę zawartości i przekazał naczynie. Kompan ochoczo przystąpił do konsumpcji.

— Nie mam dokumentów, pieniędzy, nic nie mam — oznajmił mieszkaniac Wrocławia. — Nie mam nawet żadnej koncepcji. —

Jak stąd wyjdę, zgarnie mnie pierwszy patrol. Zamkną mnie i zabiją. Bez sądu nawet. Najpierw przerobią na miazgę.

— Trzeba stąd iść. Tu wcale nie jest bezpiecznie i do rana zamrzniemy.

— Ale dokąd?

— Albo gdzieś u kogoś przekimać do rana, albo wpierdolić się w pierwszy lepszy pociąg i być dalej stąd — proponował Piotr.

— Do tego fagasa Jolki bym skoczył i wyciągnął od nich jaką kasę na pożegnanie z siostrą. Ale sam nie wiem. Tak po prośbie paszportów facetom nie dają dzisiaj. A on dostał. Nie wiem, kim on właściwie jest. Może mnie zakupuje? Jola mówiła tylko, że w wojsku robi, ale nie nosi munduru. To może znaczyć, że to jakaś tajna menda jest, najgorsza kanalia. Mnie to śmierdzi.

— Smutno mi — wyznał nagle Piotrek, czując w głowie radośny szmerek, sprawiony siarkowym preparatem. — Bardzo, bardzo mi dobrze z twoją siostrą było.

— Było? A kiedyś ty z nią był? — zdziwił się Marek, przypalając następnego papierosa.

— Latem przecież, byliśmy wszyscy razem... Na wakacjach.

— Wszyscy. Sam powiedziałeś. I daj sobie spokój. Szkoda cię, dla takiej pustej zdziury jak moja siostra. Nie masz u niej żadnych szans. Ona ma pizdę i poznała wartość pieniądza. Ty zaś pieniędzy nie masz. To pusta lalka jest i nic więcej. Daj sobie spokój. Ona jak licytacja. Lezie tam, gdzie więcej dają.

— Ale ładna, miła, ciepła...

— Zapomnij o niej. Misia sobie kup. Za kilka dni będzie z tym swoim fagasem za granicą i żegnaj siostrzyczko. Może kiedyś za wiele lat się spotkamy? Jak dożyję. Jeżeli naprawdę wyjadą. Teraz przecież nie puszczają nikogo. Jak on jest ważny, to też go nie powinni puszczać, bo mógłby za dużo wygadać. Na ambasadora jedzie, czy co? — dziwił się Marek.

— Tak. A ja wakacji z Jolką nie zapomnę — wyznał smętnie. — Jolka, Jolka, pamiętasz, lato ze snu... — zanucił.

— Hej głupia Jolka, oja, oja, oja, ja, ja, ja! — przerwał mu brutalnie.

— Nie drzyj się! — upomniął go. — Usłyszysz ktoś.

— Musimy jakoś przedostać się do nich i zabrać im jakąś kasę — stwierdził Marek. — I ja wypierdalać z tego miasta. A ty?

— A co miałbym tu robić bez ciebie? Też znikam, ale chyba muszę zabrać cię do siebie. Bez dokumentów daleko nie zajedziesz. A tak właściwie, gdzie masz dowód?

— W chacie był.

— Wychodzisz z domu bez dokumentów tożsamości!?

— Zapomniałem. Akurat nie zabrałem. Jak to zabrać mnie do siebie? — zainteresował się z błyskiem ożywienia w oczach. — Dokąd zabrać?

— Gadałem tobie o Knocie, co to na wsi mieszka, na zadupiu. Tam, cię zamelinuję, na przeczekanie.

— A co będę żarł?

— On ma gospodarę. Będiesz u niego zapierdalał w polu.

— I nie zakupuje mnie?

— Dziadka mu w Katyniu zabili. Niech to wystarczy za całą odpowiedź.

— A kochał go?

— Na pewno. Ale ty łeb masz zryty! — fuknął. — Przecież kilka razy ci o nim gadałem!

— Wiem, wiem — machnął ręką. — Ma brata, co gra bamską muzę po weselach i mają sprzęt, a próby są u niego. Ten jak mu tam... Kikut?

— Knot.

— Gra na perkusji, ty na gitarze, a ja na basie, więc możemy kapełę zmontować. Widać Bóg tak chciał. Możemy zmontować. Mnie teraz wszystko jedno, byle wyrwać z tego miasta.

— Jeżeli w ogóle stąd wyjedziemy i nie zgarną nas — powiedział Piotr, usiłując skrzesać wilgotną zapalną, aby przypalić papierosa. Zniechęcony wyrzucił ją i przypalił od świecy.

— Trzeba iść. Robi się kurewsko zimno!

— Ja przecież jestem jeszcze na pół mokry. Trzeba — zgodził się. — Też się z Jolką pożegnaj. Może będzie to ostatnie pożegnanie, bo zdechnę niedługo na zapalenie płuc.

— Ty! — Sromotnik pacnął się w czoło. — Przecież ten jej dupek ma samochód! Niech nas zawiezie chociaż do jakiejś bezpiecznej stacji!

— Byłoby dobrze. Bo jakoś naszego wsiadania na dworcu Wrocław Główny nie bardzo widzę — oświadczył Piotr. — Chociaż do jakiegoś Rawicza. Szwagrowi nie odmówi chyba.

Marek zwany Sromotnikiem skrzywił się niemiłosiernie.
— Szwagrowi? — wykrzywił zniesmaczone usta. — Taki plastikowy dupek... Gdybym miał więcej czasu, to bym odpowiednio z Jolką pogadał. Nawet nie wiem, z jaką szmatą moja siora się zadaje! Chyba ostatnio zbyt dużo chlałem! Podejrzany typek!
— Przynajmniej zabierze ją z tego piekła. Gdzieś tam w jakiejś Austrii będzie mogła żyć zwyczajnie — westchnął niedawny adorator Marka siostry.
— W Austrii jest tylko obóz przejściowy dla uchodźców. Przesiadka. Ale chodźmy stąd. Dupa mi przymarza. Musimy jakoś bra-
mami przeniknąć.

Rozdział 2

JOLKA

Jolka, a raczej jej narzeczoną (bo jakże go inaczej zwać?) o imieniu Dariusz dysponował samochodem Fiat 125P. Pojazd ten przeszedł solidny remont w minionych dniach, miał bowiem zawieźć dwójkę młodych Polaków aż do Austrii.

Wyruszyli dość wcześnie, około godziny siódmej. Dariusz zechciał najpierw podwieźć Piotra i Marka, chociaż nie było to po drodze ku południowej granicy Polski, wręcz przeciwnie. Miał jednak coś do zrobienia w Poznaniu, więc i tak nie nadkładał drogi. Chciał się tam chyba z kimś spotkać. Szczegółów nie sposób było od niego wydobyć.

W samochodzie panowało przygnębiające milczenie. Siedzący obok kierowcy Sromotnik początkowo złośliwie docinał Dariuszowi na wszelkie sposoby. Ale gdy kupił sobie „Trybunę Ludu” i przeczytał głośno relację z wczorajszych wydarzeń, przestał się odzywać, a gazetę podarł i wyrzucił przez okno. A przecież raczej powinien wykazać zadowolenie. Zamiast doniesień o ofiarach i zabójstwach była tam relacja o ekscesach chuligańskich dość małej rangi. Według gazety, młodzi wandale wspierani przez zachodnie, imperialistyczne i kontrrewolucyjne ośrodki zdemolowali centrum miasta. „Trybuna” informowała, że zamieszki nie miały nic wspólnego z polityką. Wywołali je chuligani, którzy lubią udział w burdach, a ich skłonności są wykorzystywane przez zachodnich wrogów z krajów antysocjalistycznych.

Milczała również zazwyczaj gadatliwa Jolka. Mógł to być wyraz żałoby po aresztowaniu ojca i dwóch braci, również manifestacja niepewności względem przekroczenia granicy. Bo przecież mimo posiadania wizy i paszportu, mogła zostać na granicy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej zatrzymana, gdyż nazwisko Grzyb